

Weronika Erenc 2h

XI LO im. Mikołaja Reja

„Po drugiej stronie rzeczy”

Śmierć dotyka każdego z nas. Stanowi odwieczną tajemnicę istnienia, której rąbek odsłania nam się dopiero u kresu życia. Prawda przychodzi wraz z ostatnim tchnieniem. Śmierć jest wścibska, nachalna. W szklane myśli o jutrze zawsze wtrąci swoje ostatnie słowo. Śmierć jest niepojęta. Żyjąc, nigdy nie uda się jej w pełni zrozumieć. Istniejąc nie jesteśmy w stanie pojąć istoty nieistnienia. Śmierć jest bezwzględna. Z każdą chwilą stawiamy coraz to nowy krok w jej kierunku, by w końcu z rozpędem wpaść w jej lodowate ramiona. Myślę o śmierci, o kruchości mego życia, o godnym pożalowania czasie, jakim dysponuję; ogarnia mnie trwoga. Jestem małym punkcikiem na nieskończenie długiej osi. Dryfuję na powierzchni dziejów, cierpliwie czekając na ostateczną falę. Wiszę nad bezdenną przepaścią wieczności, jednocześnie dźwigając jej ciężar na ramionach. Dlaczego jestem teraz, a nie kiedy indziej? Śmierć jest wszechobecna. Nie chcemy sięgać myślami chwili, w której odejście bliskiej osoby oznaczać będzie zaburzenie odwiecznego porządku naszego dotychczasowego świata. Życie nie przygotowuje na śmierć. Ona zawsze nastaje w czasie „przyszłym”, „niemożliwym”. Śmierć jest nie tylko końcem, jest też początkiem. Rozpoczyna żałobę, której kres nie nastanie już nigdy. Umiejętnie wpisze się ona w codzienność i „naznaczy cieniem nawet największą jasność”. Jej mroczna historia rozpoczyna się w miejscu, w którym większość opowiadań się kończy, a narratorzy milkną. Na marmurowych nagrobkach bohaterów bez trudu wyczytać można obie daty. Dopiero za wiele lat czas okrutnie odcisnie na nich swe piętno. Pamięć – jak wszystko – również ma swą datę ważności. To, co dzieje się potem, wśród żyjących, przykryte jest mglistym całunem milczenia. Nie powstała jeszcze żadna szkoła ucząca jak odnaleźć się w rzeczywistości boleśnie uboższej o jedną osobę. Każdy człowiek musi odbyć walkę z obezwładniającą pustką na swój własny, indywidualny sposób. Wyjątkowy opis takiego beznadziejnego pojedynku zawarty jest w książce Marcina Wichy pt. „Rzeczy, których nie wyrzuciłem”. Jest to zbiór krótkich tekstów, tworzących prywatny tryptyk o bolesnej stracie, emocjach uwięzionych w rzeczach i niemożności odnalezienia się w nowej rzeczywistości. Narrator nie stawia swej matki na piedestale, lecz stara się zrekonstruować ich wspólne życie. Szkicuje portret z pamięci. Jest to więc opowieść o bólu i braku. O nagłej nieobecności bliskiej osoby, której nagłe zniknięcie sakralizuje pozostawione ślady.

Czas także ulega potknięciom i wypadkom, i dlatego może się rozbić, zostawić w jednym pokoju ułamek swojej wieczności. W pierwszej części książki autor opisuje „zakurzone barykady” kłopotliwych przedmiotów, w które niefortunnie wbiły się przypadkowe odłamki pokruszonych wspomnień. Narrator, opisując nam swą matkę przez pryzmat rzeczy, które osierociła, wprowadza nas do intymnego świata żałoby, opisuje go nam uważnie, skupiając się na wszelkich detalach. Kiedy przesuwa dłonią po zakurzonych grzbietach starych książek matki, ja także czuję ich nieprzyjemnie szorstką fakturę na opuszkach palców, słyszę prowokacyjny szelest kartek, czuję charakterystyczny zapach pożółkłego papieru. Czy tak właśnie pachnie rozpacz? Rzeczy stanowią ślad po życiu człowieka, dowód dla jego autentyczności. W przedmiotach można się przeglądać jak w zwierciadle - dopowiadają one niezakończone historie, są świadectwem wrażliwości, dojrzewania emocjonalnego, rozwoju intelektualnego, a także marzeń, tęsknot i pragnień. Rzeczy można potraktować jako metaforę pamięci o człowieku. Czasami zastanawiam się: „Czy po mojej śmierci książki odwykną od dotyku mych dłoni, czy suknie zapomną zapachu mego ciała? A ludzie? Czy pogrzebią mnie w odmętach swej pamięci równie szybko, jak pogrzebią w ziemi moje ciało? Czy mój ból, moja miłość, wszystkie pragnienia odejdą razem ze mną i nie zostanie po mnie nawet puste miejsce? Czy na ziemi w ogóle znajdzie się jeszcze miejsce na pustkę?” Rzeczy to podręczne więzienia dla wspomnień. Każdy przedmiot kryje w sobie unikatową historię, absolutnie magiczną w swej banalności.

Słowa są pełne magii, są źródłem niewyczerpanego bogactwa potencjalnych komunikatów. Mogą być zarówno bronią, jak i gwarancją bezpieczeństwa, czy narzędziem ataku. „Rzeczy, których nie wyrzuciłem” to książka zarówno o słowach, jak i o milczeniu, które to zapewnia nad nimi kontrolę. Narrator, opisując swą matkę, zwraca uwagę na jej największą obsesję – nie znosiła ona językowego niedbalstwa. Jak pisze Wicha: „Przez całą szkołę (...) sprawdzała moje wypracowania. Skreślała zbyt łatwe przymiotniki. Polowała na wytarte związki frazeologiczne”. Z każdego zdania tworzyła małe, ukwiecone arcydzieło. Jednak w chwilach naprawdę ostatecznych wracamy do słów najprostszych, przemawiając jak do dzieci - na początku i u kresu jest ta sama szczerłość, pewność i prostota. Umieranie zabiera możliwość kontroli nad słowami. Matka także ją traci. Z czasem coraz głębiej zapada się w ciemną otchłań ciszy. O sprawach największej wagi najtrudniej jest opowiedzieć. Wykwintnie i elegancko ubrane słowa zawodzą. Książka Wichy porusza tematy niemieszczące się w pięknych słowach. Paradoksalnie, aby oddać wielkość swych uczuć i emocji, autor wybiera słowa małe i zdystansowane. Narrator nie roni łez. Nie znajdziemy w

tej relacji słów jaskrawych, groteskowo wymalowanych. Słowa nagie, drżące z zimna i samotności, zadały mi jednak znacznie głębszy, bo niespodziewany, cios.

Co kryje się po drugiej stronie rzeczy tak skrupulatnie opisanych przez Marcina Wiche? Z otwartej biblioteczki powoli skapuje na posadzkę czarna, oleista ciecz - strach przed obezwładniającą pustką, parzącym bólem wspomnień, przytłaczającą naturą emocji, mglistą tajemnicą śmierci. Odrażający strumień płynie dalej po podłodze, pośród rozrzuconych rzeczy i pozornie uporządkowanych słów. Czy te wszystkie niewypowiedziane uczucia, palące wyrzuty sumienia, świszczące w uszach niedomówienia, nierozstrzygnięte spory, przeterminowane żale – czy to wszystko także da się wyrzucić?